

# WIDNOKRĄC

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ  
Z „NOWINAMI  
RZESZOWSKIMI”

Nr 12 (234)

Rok VI

27 III 1966 r.

## JERZY WALAWSKI

Nie lubię sprawozdań, czuję do nich awersję. Zając sobie doskonale sprawę, że sprawozdawczość jest konieczna, ale nie mogę znaleźć dla niej subiektywnego usprawiedliwienia. Od lat piszę o upowszechnieniu kultury, od lat kierownicy świetlic, domów kultury, klubów częstują mnie liczbą tak zwanego „przepływu”, która ma obrazować pracę ich placówki. Zastanawiam się zawsze za pomocą jakich działań matematycznych oblicza się frekwencję na wystawach plastycznych, na odczytach, spotkaniach autorskich i całym szeregu innych bezpłatnych imprez, skoro nigdy i nigdzie nie zauważyłem człowieka liczącego zgromadzonych słuchaczy, albo widzów i notującego tę liczbę. Oczywiście w grę wchodzi jeden jedyny możliwy rachunek zwany metodą sufitową. Frekwencja, dobra frekwencja, trzeba zaznaczyć, równa się „liczba „pi” razy oko”.

Obawiam się, że zainstalowanie u wejść sal wystawowych, klubów i domów kultury fotokomórki połączonej z licznikiem skompromitowałyby doszczętnie wielu sufitowych matematyków. Czy tylko ich zresztą, czy nie przede wszystkim tych, którzy za jedyny miernik pracy kulturalnej uważają właśnie frekwencję?

Nie lubię sprawozdań, a jednak przydają się one od czasu do czasu, szczególnie wtedy, jeżeli się umie je odczytać we właściwy sposób, pominiąć to co w nich nieistotne, nieważne lub oczywiste. Leży przede mną ocena działalności bibliotek powszechnych w powiecie debickim i właśnie nad nią chciałbym się zastanowić. Uwagi, które napisałem we wstępie nie dotyczą tego pisma. Jest ono raczej przykładem sprawozdania obiektywnego, w którym elementy czarne i białe ukazane są z jednakowym obiektywizmem. Mówi się w tym sprawozdaniu o sukcesach, ale i o porażkach także. Mówi się o tym, że budżet na książki z roku na rok systematycznie wzrasta, co dobrze świadczy o Prezydium Powiatowej Rady w Debicy, mówi się o wzroście czytelnictwa, o zmianie zainteresowań czytelników, a jednocześnie o tym, że niektóre gromady mają za mało bibliotek. Można się dowiedzieć o innych jeszcze ciekawych sprawach.

Część opisowa sprawozdania zawiera sześć stron maszynopisu z małym marginesem i można by opierając się na niej napisać obszerny artykuł o sukcesach i kłopotach bibliotek w powiecie debickim, ale wydaje mi się, że taki artykuł byłby tylko rozwodnionym sprawozdaniem. Przykuła moją uwagę mała tabelka składająca się z suchych cyfr, a właściwie dwie kolumny tej tabelki mówiące o liczbie wypożyczeń na stu mieszkańców i na jednego czytelnika. Możemy się z niej dowiedzieć, że w skali całego powiatu na stu mieszkańców wypada 308 wypożyczonych książek rocznie, a jeden czytelnik wypożycza przeciętnie 15,3 książki, że odpowiednio w Debicy cyfry te kształtują się 424 i 21,7; w Piłźnie — 563 i 17,5; w gromadzie Straszcin — 317 i 11,9; w Pustkowie — 175 i 10,7.

Przyglądnijmy się cyfrom dotyczącym całego powiatu. Jeden czytelnik wypożycza przeciętnie 15,3, czyli 10 czytelników przeczyta rocznie 150 książek, a 20 czytelników wyczerpie już limit przeznaczony dla 100 mieszkańców, bo wypada na nich 308 książek przeczytanych rocznie. Co z tego wynika? A to, że na stu mieszkańców każdej miejscowości 80 nie czyta książek w ogóle. Oczywiście można założyć, że jeżeli z biblioteki korzysta jedna osoba, to pozostali członkowie jej rodziny też czytają książki, które ta wypożycza, ale założenie to wcale nie poprawia mojego samopoczucia, gdyż tych 20 proc. czytelników, to głównie młodzież korzystająca z lektur szkolnych, którymi dorośli na ogół się nie interesują. I to jeszcze nie wszystko — jeden czytelnik przeciętnie 15 książek rocznie, co to znaczy? To znaczy, że jeden czyta 28 książek w roku, a drugi 2 książki i dopiero wspólnie czytają po 15 tomów. Statystyka, mili moi, operuje średnią arytmetyczną i ma do tego prawo, ale ze statystyki trzeba

umieć wyciągać wnioski nawet wtedy, kiedy nie są one zbyt optymistyczne. Otóż teraz możemy już z całą pewnością stwierdzić, że książka na wsi jest wciąż artykułem delikatatosowym. Przede wszystkim na wsi, bo nie przeraża mnie to, że w Debicy wypadają 424 przeczytane książki na stu mieszkańców rocznie, nie przerażają mnie te cztery książki na

## BLIŻEJ KSIĄŻKI

mieszkańca, gdyż ma on do dyspozycji jeszcze biblioteki związkowe, młodzież ma książki w szkołach, mają wreszcie ludzie swoje prywatne księgozbiory. Na wsi prywatny księgozbiór jest unikatami i nie ma zakadów pracy, które dysponują swoimi bibliotekami. Księgozbiory w szkołach podstawowych nie są zbyt bogate, więc pozostaje ta jedna jedyna biblioteka gromadzka, albo wiejski punkt biblioteczny. Nie garna się tłumnie ludziska do tych kuźni oświaty i zaryzykuję twierdzenie, że wśród setki mieszkańców wsi znaleźlibyśmy co najmniej pół setki takich, co w życiu książki nie przeczytali. Znaleźlibyśmy sporo takich, dla których jedyną lekturą jest książeczka do nabożeństwa, a jedynymi książkami w domu są podręczniki córki, albo syna, którzy chodzą do szkoły.

Czy w tej sytuacji nie będzie stosowniej mówić o zapobieganiu wstępnemu analfabetyzmowi niż o popularyzacji czytelnictwa? Zgodźmy się krakowskim targiem na kompromis — będziemy mówić o popularyzacji

czytelnictwa dla przeciwdziałania wstępnemu analfabetyzmowi. To będzie chyba najslusniejsze, najbliższe prawdy. Słowem chodzi o ofensywę czytelnictwa, o frontalny atak książki na czytelnictwa pustynię, czy Pustków, który w sprawozdaniu wypadł najmniej okazałe. Tak, potrzebne są nowe lokale dla bibliotek, nowe książki i nowe kadry. I jednocześnie coś więcej... Otóż placówki biblioteczne są na ogół placówkami statycznymi. Oczywiście popularyzują książki, organizują wieczory autorskie, urządzają wystawy, ale większość placówek ogranicza swoją pracę do wypożyczania książek, do porady czytelnicy. Sądzę, że sprawa godną przemyślenia byłaby trochę inna struktura bibliotek, inna funkcja, a raczej bogatsze formy oddziaływania na czytelnika „in spe”. Wyobrażam sobie taką bibliotekę, w której oprócz bibliotekarza pracowałby jeszcze pracownik kulturalno-oświatowy zajmujący się wyłącznie propagowaniem czytelnictwa. I to nie przez podsuszanie książki temu czytelnikowi, który już przyszedł do biblioteki — nie w tym rzecz. Bibliotekarz — propagandysta powinien zadbać o przyciągnięcie nowych czytelników do biblioteki, powinien zorganizować pogadankę na temat czytelnictwa, powinien nawet trafić do tego czy innego domu, zachęcić w prywatnej rozmowie, urządzić wieczór głośnego czytania, wieczór czytelnicych pytań i odpowiedzi. Różnorodność metod popularyzacji, nie wyłączając tych, które już bibliotekarze uprawiają od lat. Nowym polegałoby na tym, że każda biblioteka gromadzka, albo kilka gromad do spółki miałyby takiego popularizatora, który mógłby się zajmować sprawami propagandy, upowszechnienia książki wyłącznie, bez obciążania go samym wypożyczeniem.

Znam odpowiedź na moją propozycję — trudności etatowe, brak pieniędzy. Wiem jednak, że ta i jeszcze inna rada narodowa mogłaby

**S**ZCZEGÓLNY rok ma za sobą historia teatru polskiego. Rok uroczystych obchodów 200-lecia jego istnienia, rok oddania do użytku dwu muzom: Melpomene i Polihymni corazzińskiej budowli w stolicy, rok Bogusławskiego, rok sceny narodowej, wreszcie rok artystyczny nie pełny przez kilka znakomitych przedstawień, o których mówilo się w całym kraju. Nieprędko na pewno w przyszłe międzynarodowe dni teatru uda nam się pisać o podobnie bogatym bilansie. Nieprędko.

Zawsze wszakże pozostanie sztuka żywa, z jaką teatr wychodzi do widzów, pozostanie siła teatru, nase nim zachwycenie, wreszcie potrzeba stałych z nim kontaktów człowieka myślącego. I dlatego, wydaje nam się, każdy rok dostarcza 365 dni teatru: dni bardzo pracowitych, nie zawsze efektownych, nie zawsze prezentujących szczyty sztuki teatralnej, ale zawsze pełnych propozycji.

Czegoż by życzył teatrowi, jego ludziom? Myślę, że właśnie rozdzianiecia dzisiejszego święta na cały rok, zapełnienia sal widowiskowych.

Jeżeli widownia określa teatr, jego styl, to wcale nie oznacza, że narzuca mu minimalizm w dziedzinie kryteriów artystycznych; to tylko podwaja jego wysiłek, by przekonać tę widownię, że sztuka jest piękno nie tandeta, że jej walor tkwi w procesie podsumowania interpretacji. Dialog teatru z odbiorcą toczy się od początku istnienia teatru. Teatr w nim zwycięża, dlatego może, że stanowi w naszym życiu jedną z konieczności, że rozszerza swe wpływy i gromadzi admiratorów w środowiskach, dla których przed niewiele jeszcze laty był pustym dźwiękiem.

Teatr nie tylko zawodowy obchodzi dziś swe święto. Czekła na wspomnienie teatr telewizyjny, który daje co drugi dzień widowisko, czeka teatrzyk studencki, czeka estrada, jako jedna z wielości jego form, czeka teatrzyk amatorów, który coraz częściej od „Panu majstrowej” ucieka w dramat rzeczywisty.

I jednak wżrusza mnie dziewczyna, która zbiegnie ręce grzeje nad parą czajnika w wiejskim klubie, marząc o roli fredrowskiej Anieli, co doświadczona aktorka, która przy otwarciu małej sceny zawodowej, gdzie trudno o zaplecze, bezinteresownie jest duszą premierowego przedstawienia. Obie mają bakcyła teatru i dla obu dzień dzisiejszy jest jeszcze jedną dobą, pogłębiającą ich mariaż z teatrem. Zamieśmy przeto słowa w czyn i pójdźmy na spektakle. Zróbmy dziś tłum w teatrze; tłum odświętny i pachnący wiosennym kwiatkiem dla ulubionego aktora.  
K. S.



DON JUAN — Mollera w Państw. Teatrze im. W. Sienkiewicza w Rzeszowie  
Rys. J. SIENKIEWICZ

CIĄC DALSZY NASTR. 2

## III Konkurs Kompozytorski im. Wieniawskiego

W Poznaniu obraduje jury III Międzynarodowego Konkursu Kompozytorskiego im. Henryka Wieniawskiego. Na konkurs nadesłano 44 prace z 23 krajów. W środę 30 bm. w Białej Sali Prezydium Rady Narodowej miasta Poznania nastąpi uroczystość ogłoszenia wyników.

Na bieżący Konkurs zgłoszono o 8 prac mniej niż na poprzedni, ale zbyt wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek wniosków, a tym bardziej o popularności imprezy. Raczej jeszcze raz sprawdza się słuszność organizowania tego konkursu. Bodźcem był powszechnie notowany brak utworów estradowych, traktujących skrzypce jako instrument solowy — wirtuozowski.

W czasie II Konkursu Kompozytorskiego międzynarodowe jury, obradujące wówczas pod przewodnictwem prof. dr Tadeusza Szeligowskiego (zmarł w 10 miesięcy później) — nie przyznało nagrody. Jedyne wyróżnienie uzyskała Improwizacja na skrzypce i fortepian Michała Spisaka, polskiego kompozytora działającego w Paryżu. Laureat II Konkursu nie doczekał publicznego wykonania utworu.

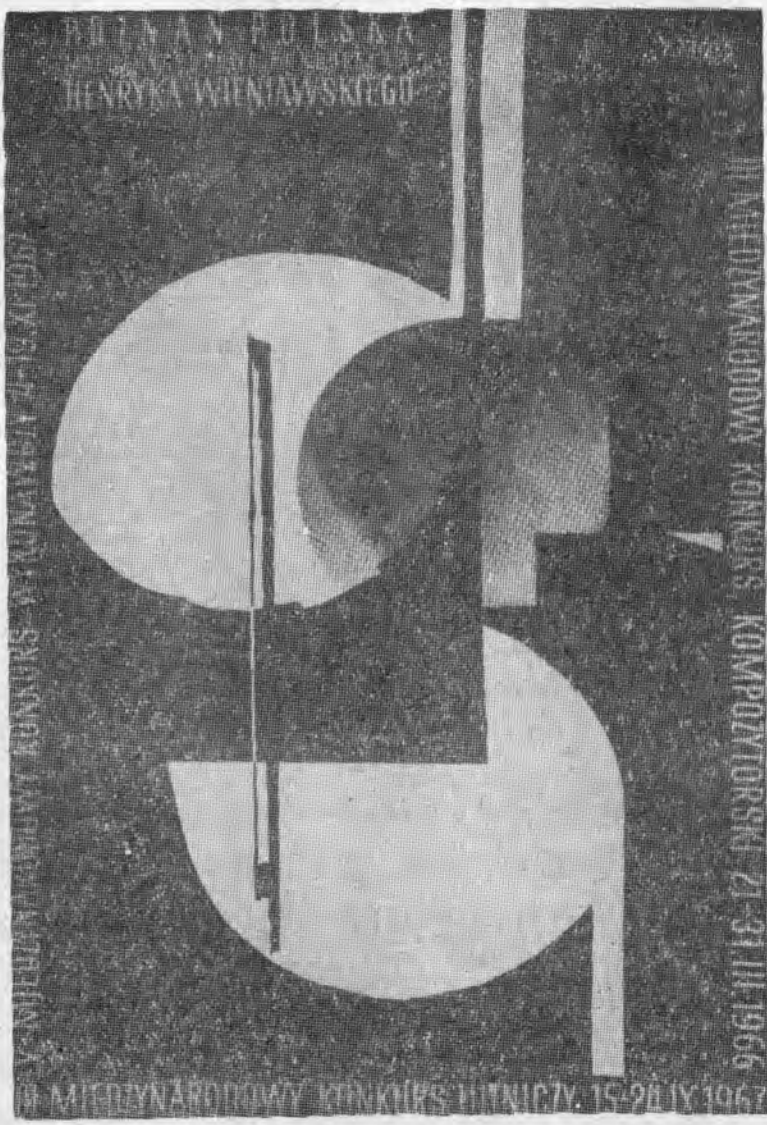
Regulamin obecnego Konkursu wprowadził zasadnicze zmiany. Przedmiotem jest utwór na skrzypce i zespół lub orkiestrę kameralną, a nie jak dotychczas na skrzypce i fortepian. Przyznana będzie również druga nagroda w wysokości 8 tys. złotych (I — 12 tys. złotych). Jedną z nagrodzonych prac wejdzie do obowiązkowego repertuaru kandyda-

tów do III etapu V Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego.

Rozstrzygnięciu Konkursu towarzyszy w Poznaniu prawdziwa „Wiosna Muzyczna”. Nieomal co dzień odbywają się koncerty, głównie muzyki polskiej (np. 25 bm. śpiewały wszystkie „słowiki poznańskie”: chór chłopięcy i męski Stefana Stuligroza, chłopięcy — Jerzego Kurczewskiego i dziewczęcy — Mirosławy Wróblewskiej), spotkania jurorów z młodzieżą muzyczną, ze studentami, kompozytorami i miłośnikami muzyki. Otwarto dwie wystawy. Jedną obejmuje „Motywy muzyczne na exlibrisach polskich”. Druga — żarty rysunkowe Henryka Derwicha pt. „Piórkami po pięciolini”.

W czwartek 31 bm. delegacja Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu wraz z członkami Sądu Konkursowego złożą kwiaty na grobie wielkiego polskiego skrzypka, który znajduje się na warszawskich Powązkach.

Pierwszy etap Konkursów im. Henryka Wieniawskiego możemy uważać już za zamknięty. We wrześniu przyszłego roku odbędzie się Konkurs Lutniczy, a dwa miesiące później staną w zran-ki o laur Henryka Wieniawskiego młodzi skrzypkowie — wirtuoz, laur, który wysoko jest ceniony na całym muzycznym świecie. Szczycą się nim m. in. Grażyna Bacewicz, Wanda Wiłkomirska, Edward Statkiewicz, Igor Iwanow — Polska, Sydney Harth, Charles Treger — USA, no i... wielki Dawid Ojstrach i jego syn Igor.  
M. G.



Plakat Konkursów im. H. Wieniawskiego projektu Zenona Bączyka.



ZBIGNIEW WAWSZCZAK

## Z KULTURĄ NA TY

W nieszczygólnych warunkach pracuje poradnia kulturalno-oświatowa i wydział kultury PRN w Dębicy. Zespołem tym kieruje Ludwik Matłoz, piastujący od 11 lat funkcję kierownika wydziału kultury, najpierw w sąsiednich Ropczycach, a od paru lat w Dębicy.

O kulturalnych poczynaniach Dębicy głośno od pewnego czasu w Rzeszowskim. Eksperymenty z bibliotekami, konkursy, wystawy, nagrody — o tym się mówi. Matłoz cieszy się dobrą opinią: jego zwierzchnicy z Wydziału Kultury WRN nie bez powodu zaliczają Matłoz do grona najbardziej przedsiębiorczych i ambitnych spośród kierowników wydziałów kultury PRN w województwie.

Ludwik Matłoz to działacz energiczny i pełen inwencji. Z jego inicjatywy podejmowane były i są rozmaite interesujące poczynania. Przed paru laty Dębica przystąpiła do realizacji hasła „biblioteka ośrodkiem życia kulturalnego na wsi”. Matłoz potrafił przekonać do tego projektu władze powiatowe (co nie jest, myślę, że nie potrzebuję tego uzasadniać, łatwym zadaniem), i zdobyć fundusze na wyposażenie placówek wiejskich w niezbędne urządzenia. Mówiono wówczas o „eksperymentach dębickim”, eksperymentach, który generalnie biorąc, zdał egzamin i przyczynił się do poważnego wzbogacenia życia kulturalnego na wsi. Czuli na wszelkie nowinki Matłoz włączył się z miejsca do akcji „społeczny telewizor”: dziś powiat dę-

z konieczności wystaw (rozmiary sal) poszczególnych placówek rzeszowskich (A. Jakubowicz, Z. Kudowa, J. Majewski, B. Smoczeńska i inni) łączona jest zwykle ze spotkaniem z autorem. Spotkanie to ma w założeniu przynajmniej spełniać funkcję oświatową, ma ułatwić no-



wemu widzowi pierwsze kontakty ze współczesną sztuką. Jeżeli nawet w pracy tej spotykają Matłoz niepowodzenia, nie jest to jedynie jego wina: po prostu jego poczynania mają najzupełniej pionierski charakter, brak jest w tej mierze jakichś wzorów, doświadczeń, zresztą nie tylko w województwie, ale chyba i w kraju. W każdym razie Matłoz nie zraża się trudnościami (to chyba nie leży w jego naturze) i poszukuje jakichś rozwiązań. Próbę takiego rozwiązania stanowi popularna wystawa, obrazująca za pomocą reprodukcji dzieje malarstwa. Twórcą tej ekspozycji (obliczonej na wiejskie warunki lokalowe) jest artysta plastyk, Adolf Jakubowicz. Matłoz chce posłać tę

jedną z największych zdobyczy, którą udało mu się w krótkim stosunkowo czasie osiągnąć.

Rzeczywistość jednak jest daleko bardziej skomplikowana aniżeli mogłoby to wynikać z uproszczonych schematów, składa się z wielu barw i odcieni. W sylwetce Matłoz dominują — jak starałem się to wykazać — jasne kolory, co nie oznacza jednak, że winniśmy przymykać oczy na cienie. Tym bardziej że bohater nasz jest młodym działaczem i prawdopodobnie nie zawsze potrafi zdobyć się na niezbędny samokrytycyzm.

Otóż niebezpieczeństwo kryje się — jak się wydaje — w występującej u Matłoz pewnej skłonności do lekceważenia kolektywów poszczególnych placówek kulturalnych, w wynikającej, być może, z najlepszych zamiarów tendencji do zbyt daleko posuniętej ingerencji w wewnętrzne sprawy tych placówek, zdarzające się od czasu do czasu. Nieprzeżreżenie określonej przepisami autonomii placówek prowadzi zwykle do niepotrzebnych zdrażnień, niesnasek. Właśnie taka mniej więcej sytuacja wytworzyła się pomiędzy kierownictwem wydziału kultury a biblioteką powiatową. Chodzi tam m. in. o awansowanie pracowników, a także o samochód.

Przy wydziale kultury powstała poradnia kulturalno - oświatowa wyposażona w mikrobus „Nysa”. Jest to, nawiasem mówiąc, kapitalne udogodnienie, umożliwiające systematyczne kontakty niemal z każdą miejscowością w powiecie. Rozsądek nakazywałby jak najbardziej racjonalne użytkowanie mikrobusu dla całej dębickiej kultury, w praktyce jednak biblioteka może się nim posłużyć ledwie dwa, trzy razy w roku. Takie postawienie sprawy godzi przede wszystkim w rozwój placówek wiejskich (nie zapominajmy, że właśnie w pow. dębickim uczyniono z bibliotek ośrodków życia kulturalnego na wsi i z tego chociażby względu zastępują one na szczególnej opiece). Na wyniki nie trzeba czekać długo: unadek Uniwersytetu Powszechnego w Jastrzębce Starej (wykładowcy nie mieli czym dojeżdżać), podobne trudności w innej wsi, wreszcie duża niłność kadru w bibliotekach wiejskich (w ubiegłym roku odeszło 13 osób), co nie pozostaje bez wpływu na wyniki pracy...

Czy warto więc psuć piękną robotę upieraniem się przy wątpliwych koncepcjach?

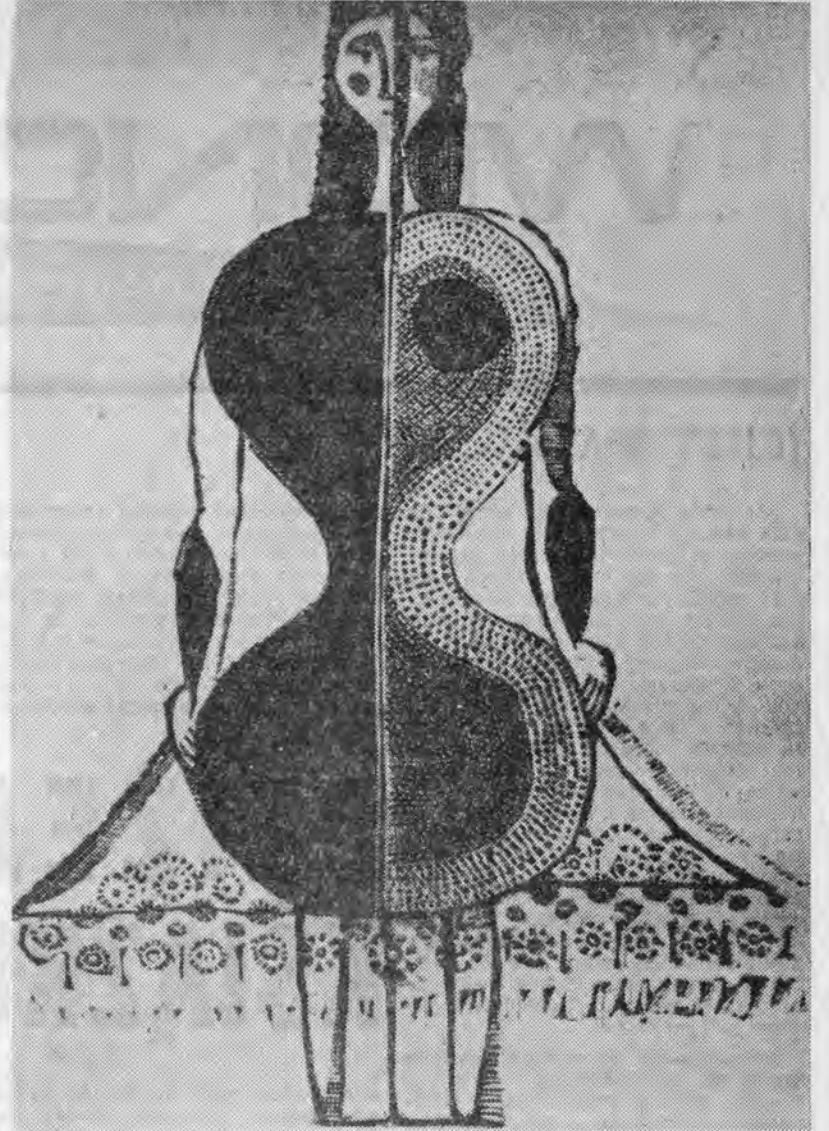
## BLIŻEJ KSIĄŻKI

(Ciąg dalszy ze str. 1)

zdołać trochę pieniędzy na ten cel. To nie musiałby być etat popularyzatora, mógłby być jakiś ryczałt. W każdym razie sprawa wydaje mi się warta przemyślenia. Zanim jednak dojdzie do ewentualnej realizacji pomysłu chciałbym odnotować coś co odważę się nazwać eksperymentem dębickim i co w pewnym sensie zbiega się z moją propozycją. Otóż Dębica nie ma świetlic. Rolę tych placówek — jak poinformował mnie kierownik Wydziału Kultury PRN Ludwik Matłoz — pełnią właśnie biblioteki. Oczywiście zajmując się działalnością kulturalną mają stałe na uwadze rozwój czytelnictwa, ale jednocześnie stosują w swojej działalności bardzo różnorodne formy pracy. W bibliotekach powiatu dębickiego odbywają się spotkania z plastykami rzeszowskimi, którzy eksponują w nich swoje prace, działają przy bibliotekach zespoły amatorskie i kółka zainteresowań. To wszystko zwraca uwagę społec-

## Niemiecka prapremiera dwóch sztuk Witkacego

W ostatnich dniach wystawiono po raz pierwszy na niemieckim obszarze językowym dwie sztuki Stanisława Ignacego Witkiewicza. Są to: „Matka” — wystawiona w Teatrze Miejskim w Saarbrücken w ramach „Dni teatru polskiego” oraz „Szafa” — w Baden-Baden. Reżyseria obydwu sztuk spoczywała w rękach polskich. „Matkę” reżyserował w Saarbrücken dyrektor teatru w Zielonej Górze — Zbigniew Stok, a „Szafę” w Baden-Baden — znany plastyk z Krakowa, Tadeusz Kantor. Krytyka zachodniemiecka odnotowała obydwie te inscenizacje jako interesujące wydarzenia artystyczne.



BARBARA SMOCZEŃSKA — GRAFIKA

## Nowa inicjatywa BWA

## POPULARYZACJA PLASTYKI WSRÓD MŁODZIEŻY

Rzeszowskie Biuro Wystaw Artystycznych prowadzi wśród społeczeństwa rzeszowskiego szeroką akcję popularyzacji sztuki. Niedawno z inicjatywy kierownictwa tej placówki w Rzeszowie odbyło się spotkanie przedstawicieli Kuratorium Okręgu Szkolnego, Wydziału Kultury PRN oraz Okręgowego Ośrodka Metodycznego. Poświęcone ono było omówieniu przedsięwzięć, które by zmierzały do upowszechnienia sztuki wśród młodzieży szkolnej.

Potrzeba tego rodzaju akcji istnieje nie od dziś. Jednak z chwilą otwarcia Domu Sztuki w Rzeszowie szanse jej powodzenia wzrosły niepomniernie. Stworzyło to po prostu nowe możliwości. Obserwujemy bowiem pierwsze, na szerszą skalę zakrojone akcje, lecz niestety, może jeszcze niezbyt popularne wśród mieszkańców miasta. Wystarczy choćby wspomnieć wystawy plastyki, spotkania z artystami plastykami, autorami wystawianych prac, wieczory muzyki na wystawach, odczyty itp.

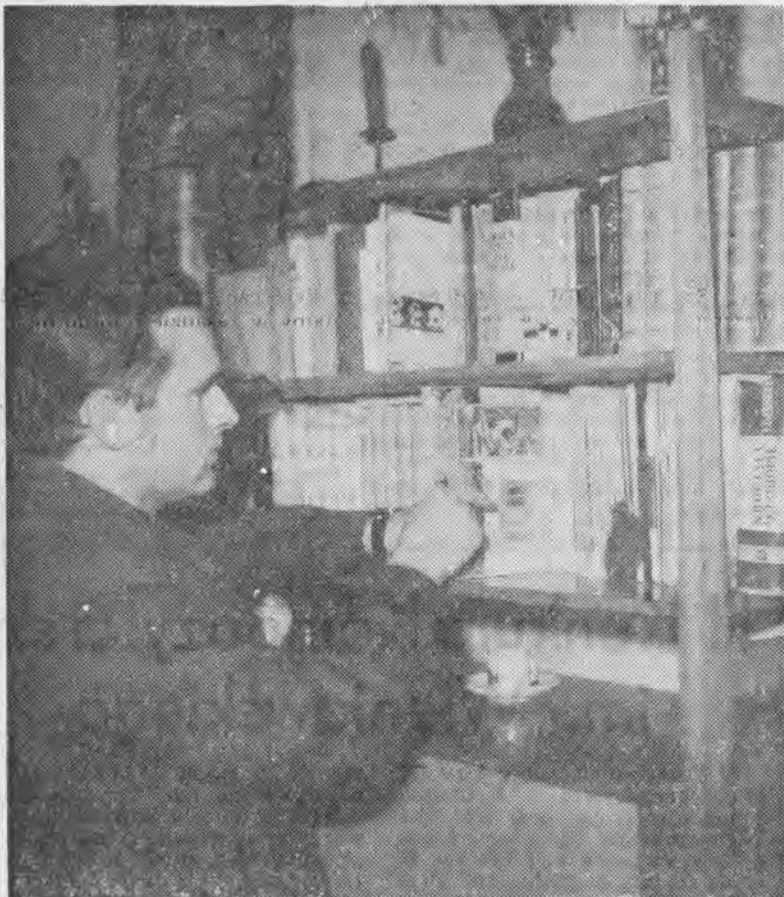
Uczestnicy spotkania uznali, że istnieje możliwość podjęcia akcji, zmierzającej do upowszechnienia sztuki wśród młodzieży. Inicjatywą w tym kierunku nie są może jeszcze zbyt atrakcyjne, niemniej jednak stanowią pierwszy krok. Biuro Wystaw Artystycznych będzie np. opracowywało informatory o wystawach, które Kuratorium zobowiązało się rozpowszechniać wśród młodzieży. Będzie to z pewnością poważny bodziec i zachęta do zwiedzenia. Podobnie przedstawia się sprawa propagandy za pomocą afiszy. Uwzględniono również możliwość organizowania (w soboty i niedziele) wycieczek na wystawy dla młodzieży zamieszkałej w internatach.

Nie zapomniano także o młodzieży wiejskiej, która będzie miała możliwość zwiedzenia wystaw podczas organizowanych już tradycyjnie wczasów w mieście.

Miłośników i potencjalnych znawców sztuki zainteresuje z pewnością propozycja zorganizowania dla młodzieży szkół średnich konkursu na najlepszą recenzję z wystawy, zorganizowanej w Domu Sztuki. Padła również dość istotna propozycja, która została przyjęta przez zebranych z uznaniem, by konferencje nauczycieli wychowania plastycznego odbywały się w Domu Sztuki, co z pewnością pozwoli nawiązać bliższy kontakt z plastykami.

Jak wynika z przedstawionych tu propozycji, z których niektóre są już w stadium realizacji, plan jest dość konkretny i przy współpracy zainteresowanych instytucji może przynieść bogaty plon, na czym wszystkim powinno zależeć.

(stanski)



bicki należy do rejonów, dysponujących największą liczbą telewizorów w placówkach kulturalnych na wsi.

Mając bliskie kontakty z dyrekcją Teatru im. W. Siemaszkowej, Matłoz zgłasza akces do konkursu „Wies bliziej teatru”. Od początku wiecie mu się dobrze, już w pierwszym etapie powiat dębicki osiąga prymat w województwie, dwie placówki wiejskie zdobywają ogólnopolskie wyróżnienia w postaci dotacji. Również i dzisiaj Dębica wykazuje dużo zainteresowania propagandą sztuki teatralnej na wsi. Znowu okazja do pochwały zespołu, któremu przewodzi Ludwik Matłoz.

Niepodobna tu oczywiście pominąć jeszcze innych poczynania Matłoz, jego szczególnej inklinacji do sztuk plastycznych. Nie wiem, jakie czynniki odegrały tu decydującą rolę: czy osobiste zainteresowanie sztuką, czy znajomości w rzeszowskim środowisku plastycznym, a może i jedno, i drugie — pospół, może, że wydział kultury w Dębicy podejmuje od kilku lat poważne wysiłki w dziedzinie upowszechnienia sztuki na swym terenie. Zaczęło się od wystaw, najpierw tylko w Dębicy, ostatnio również w dwu wybranych wsiach, mających ku temu odpowiednie warunki. Prezentacja niewielkich

wystawę do większości wsi w powiecie. Ale i to pogładowe „nauczanie” sztuki nie będzie się zapewne mogło obejść bez utalentowanego prelegenta.

W ogóle projektów ma w tej dziedzinie sporo. Zamierza np. wydać tekę graficzną, obrazującą piękno ziemi dębickiej. Z zakupów (z każdej wystawy kupuje jedną pracę, jest to chyba w tej chwili jedyny wydział kultury PRN w województwie sprawujący mecenat w tak systematyczny sposób) przygotowuje większą galerię sztuki w nowo budowanym domu kultury w Podegrodziu. Będzie to znowu pierwsza tego rodzaju inicjatywa w Rzeszowskim, a i w kraju nie mająca chyba wielu odpowiedników.

Jak więc widać, wyliczenie szeregu poczynania kierownika dębickiego wydziału kultury dębickiej PRN, zajęło nam sporo czasu. Na podstawie powyższego rejestru rysuje się sylwetka energicznego, młodego człowieka. Jest to przykład pomyślnego „wchodzenia” w życie reprezentanta młodego pokolenia, przykład ilustrujący tradycyjne pojęcie „zmiany warty”.

Niezależnie od doraźnych sukcesów, Matłoz osiągnął bardzo dużo: potrafił zdobyć sobie pewien autorytet w środowisku, uznanie władz powiatowych. To jest chyba



# ŚLADAMI TYSIĄCLECIA

ANTONI KUNYSZ

## Rzeszowszczyzna za Piastów

Zagadnienie przynależności ziem w widłach Sanu i Wisły do państwa pierwszych Piastów należy do niezmiernie trudnych. Jak wynika z dotychczasowych badań żadne źródło nie mówi nic konkretnego w tej sprawie do końca XII wieku. W oparciu o wydarzenia polityczne z czasów panowania Mieszka I czy Bolesława Chrobrego, możemy wnosić, że obszary te dość wcześnie znalazły się w granicach państwa Mieszka. Specjalną wymowę pod tym względem posiada wzmianka o wyprawie księcia Włodzimierza Kijowskiego w roku 981, podczas której zajął on mianem Lachach szereg grodów, a między innymi Przemysł. Mimo kwestionowania tej informacji, że nie dotyczy ona Przemysła nad Sanem, można przyjąć, że jeśli tereny nad Bugiem należały do Państwa Polskiego, to trudno sobie wyobrazić, że ziemie nad Sanem nie znajdowały się w jego granicach. (Ryc. 1).

Informacje w niektórych publikacjach o odzyskaniu Przemysła w r. 1018 podczas znanej wyprawy Bolesława Chrobrego na Kijów nie mają żadnego pokrycia źródłowego. Historycy i archeolodzy dawno udowodnili, że droga Chrobrego przebiegała północnym szlakiem i nie zahaczała nigdy o Przemysł.

Znamiennym śladem przynależności ziem nad Sanem wraz z Przemysłem do państwowości pierwszych Piastów, może być odkrycie monumentalnej architektury i rotundy wraz z pałacem książęcym na zamku w Przemysłu. Budowle te, jak wykazali archeolodzy i historycy sztuki, reprezentują charakterystyczny typ wczesnopiastowskich budowli znanych poza tym z Gieczy, Ostrowa Lednickiego, Krakowa, Płocka, Wiślicy itp. Niektórzy uczeni przypisują czas powstania tych budowli w Przemysłu na okres panowania Chrobrego (Ryc. 2).

Dopiero wydarzenia z lat 1030—1031 zdają się stwierdzać, że ziemie te dostają się pod panowanie Rusi podczas wyprawy Jarosława księcia kijowskiego. Z tego okresu pochodzi informacja (kronikarza) z responsu Jehudy ha-kobena o uprowadzeniu z miasta Premis (Przemysła) dwóch chłopów żydowskich. Następne dane źródłowe do dziejów tych ziem posiadamy z końca XI wieku. Według niektórych kronikarzy, między innymi J. Długosza w roku 1071 miał przebywać w Przemysłu książę Bolesław Śmiały wraz z drużyną. Informację tę wielu uczonych kwestionowało. W świetle ostatnich badań archeologicznych wynika, że J. Długosz do swoich dzieł czerpał dość dokładne dane najprawdopodobniej z tzw. latopisu przemyskiego, który zaginął. Wydaje się prawdopodobne, że podczas pierwszej wyprawy interwencyjnej na Kijów w r. 1069 Bolesław Śmiały odzyskał ziemie nad Sanem wraz z Przemysłem. Niedługo jednak ziemie te wchodziły w skład państwa Bolesława Śmiałego. Pod koniec bowiem 1087 posiadamy wzmianki mówiące o istnieniu w Przemysłu stolicy księstwa.

Księstwo to, którego założenie

przypisuje się księciu Rurykowi Rościszłowiczowi obejmowało dość duży obszar ziem w górnym dorzeczu Sanu i Dniestru. Jego granice zachodnie opierały się na Wiśtoku i Jasiołce. Od tego momentu książęta przemyscy prowadzą bez przerwy walki bratobójcze.

Wiek XII dla ziem nad Sanem jest znamienity w szereg wydarzeń militarnych. Z okresem tym wiąże się ciekawa akcja podjęta przez Bolesława Krzywoustego, mająca za zadanie pozbycie się groźnego sąsiada księcia Wołodara przemyskiego. Zamachu na księcia Wołodara dokonał Piotr Włast w r. 1119 chwytając go podstępem na połowaniu lub podczas rzekomych rozmów pokojowych. Nie jest wykluczone, że epizod ten rozegrał się na naszych ziemiach. Po pewnym okresie współpracy Wołodara przemyski rozpoczyna szereg akcji militarnych przeciwko Polsce. Wystarczy tylko wspomnieć, że pod koniec 1124 mamy przekazy mówiące o spustoszeniu ziem aż po Biecz przez księcia przemyskiego Wołodara. W parę lat później w roku 1135 książęta Rościszłowicze wspierają Połowców w napadzie na Wiślicę. Obydwie wyprawy przebiegały przez obszary dzisiejszego województwa rzeszowskiego.

W połowie XII wieku obszary nad Sanem stają się terenem ekspansji książąt węgierskich. W latopisie hipackim pod rokiem 1150 zachowała się wzmianka mówiąca o wyprawie króla węgierskiego Gejzy, który zajął gród Sanok, wziął posadnika Jasza do niewoli oraz zajął wiele wsi koło Przemysła. Wyprawa Węgrów dotarła do Przemysła, bowiem pod rokiem 1152, książę Włodimirko ponosi wielką klęskę od Węgrów i księcia Izasława kijowskiego. Długosz relacjonuje nam pod rokiem 1179, że Kazimierz Sprawiedliwy odzyskuje ziemie brzeską, włodzimierską, drohiczyńską i przemyską. Informacja ta budzi zastrzeżenia, niektórzy uczeni przyjmują, że wydarzenia te należą do czasów późniejszych. W oparciu o wydarzenia roku 1214 wnoszą, że ziemie te na mocy ugody spiskiej dostają się w ręce Leszka Białego. Kroniki z XIII w. notują jeszcze jeden ciekawy epizod z dziejów naszych ziem, związany z odwetową wyprawą księcia Leszka Czarnego oraz szałeni Przeworska w r. 1281. Nie jest wykluczone, że wyprawa ta osiągnęła linię Sanu wraz z Przemysłem.

W świetle dotychczasowych badań widzimy, że dzieje tych ziem w wiekach X—XIII posiadały bogatą historię. Wydarzenia, jakie tutaj miały miejsce doprowadziły do wytworzenia się na tych obszarach pasa pogranicza polsko-ruskiego. Od południa graniczyliśmy z Węgrami. Duże różnicowanie etniczne na tych ziemiach, jak i kulturalne było wynikiem częstych zmian w przynależności państwowej. Dopiero od roku 1340 w wyniku testamentu księcia Bolesława Jerzego II Trojedowicza ziemie te włączone zostały przez ostatniego króla-Piastów, Kazimierza Wielkiego do Polski.



JAN CHODZIŃSKI

## Gdzie jesteście towarzysze z Ebensee?

Z Aleksandrem Szapowałowem spotkałem się niedawno w polskim Konsulacie Generalnym w Kijowie. Sprawa bowiem, z którą zwrócił się do naszej placówki dyplomatycznej ma niezwykłe podłoże i zahacza o czasy, kiedy polscy i radzieccy więźniowie jednego z hitlerowskich obozów zgadywali sobie maksymalnej pomocy, by jakoś przetrwać najgorszy okres i dożyć chwili wyzwolenia. Choć był to już rok 1943, niewielu więźniom udało się uratować z Mauthausen, a szczególnie z Ebensee, bo tak nazywała się jedna z licznych filii tego obozu. Zwalczając więźniom radzieckim, których mordowano tu masowo, w sposób niezwykły wyrafinowany i okrutny. Dziś na terenie Związku Radzieckiego żyje ich już tylko kilkunastu. Choć mieszkają w różnych miastach Związku Radzieckiego, utrzymują ze sobą stały kontakt i spotykają się, wspominają obozowe czasy i tych, którzy tam już pozostałi na zawsze. Wspominają także swych towarzyszy, więźniów polskich, czeskich, węgierskich, francuskich, hiszpańskich i greckich, którzy razem z nimi, w Ebensee, dzielili niedolę, głód i wszelkie potworności obozowego życia. Utrzymują zresztą korespondencyjny kontakt z b. więźniami Ebensee, nie zapominają i o tych, którzy broniąc ich i ratując w najtrudniejszych warunkach ich życia, sami zostali w okrutny sposób zamordowani przez hitlerowskich zbrodniarzy.

Ich działalność nie kończy się jednak na wzajemnych kontaktach i wspomnieniach. Aby już nigdy nie odrodził się faszyzm, aby człowiek nigdy już nie zgłotał takiego losu drugiemu człowiekowi — b. radzieccy więźniowie hitlerowskich obozów zgadywają także aktywną działalność polityczną. Tow. Aleksander Szapowałow jest właśnie jednym z inicjatorów i organizatorów tej działalności, zwłaszcza wśród młodzieży, mieszkańców Kijowa i społeczeństwa Ukrainy Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Jako dziennikarz, zastępca sekretarza redakcji „Kijowska Prawda”, publikuje szereg materiałów traktujących o sprawach obozowych. Jego publikacje ukazały się także w wielu innych czasopiśmie radzieckich, a m. in. w czasopiśmie młodzieżowym „Ranok”. Przedrukowały je również czasopisma w innych krajach demokracji ludowej. W Polsce interesujący materiał wspomnieniowy A. Szapowałowa pt. „Piaskarze” opublikowany został w listopadzie ub. roku w czasopiśmie „Za wolność i Lud”, redagowanym przez Związek Bojowników o Wolność i Demokrację.

Szapowałow poświęca go bohater-skemu lekarzowi polskiemu, więźniowi tegoż obozu, dr Władysławowi Czaplńskiemu (obecnie dyrektorowi Szpitala MSW w Gdańsku Wrzeszczu), który jak tylko mógł pomagał więźniom, zwłaszcza radzieckim, a jemu osobiście swoją decyzją uratował życie w najkrytyczniejszym momencie. Nie liczył się nigdy z tym, że każdy swój krok może przypłacić śmiercią. Był nie tylko lekarzem, był człowiekiem godnym najwyższego uznania i takim pozostał w oczach wszystkich więźniów z Ebensee.

Ale wśród więźniów — Polaków nie tylko dr Czaplński zyskał sobie taką popularność. Było wielu innych. Był np. sztabowy, Polak, o nieznanym więźniom radzieckim nazwisku, który w okresie morzenia Rosjan głodem (przez około 3 tygodnie w ściśle odizolowanej części obozu na rozkaz komendanta obozu Antoniego Ganza, nie dostarczono więźniom radzieckim żadnej żywności), miał odwagę zwrócić komendantowi obozu uwagę na jego nieludzkie postępowanie, za co został natychmiast zastrzelony. Byli Polacy, którzy — sami niewiele mając — dzielili się z towarzyszami radzieckimi ostatnim okruczem chleba, którzy na wiadomość o szczególnych represjach w stosunku do Rosjan, chronili ich jak mogli po różnych zakamarkach, byle tylko ratować im życie. W piekle hitlerowskiej machiny obozowej, sami nie wiedząc ile im jeszcze dni czy godzin pozostało do śmierci, ratowali innych. Uważali to za swój ludzki obowiązek. Zachowanie godności ludzkiej cenili wyżej niż życie.

Niestety, towarzysze radzieccy nie znają wielu nazwisk współwięźniów polskich z Ebensee. Wiedzą tylko, że niektórzy z nich przeżyli oboz i wrócili do swych rodzin, że mieszkają gdzieś na Śląsku, w woj. krakowskim, rzeszowskim i in. Pragnęliby więc nawiązać z nimi kontakty, zaprosić ich do Kijowa na wspólne spotkanie, wyrazić im swą wdzięczność za ich postawę i bohaterstwo. Chcieliby też poznać — poprzez wspólne wspomnienia — i uczcić pamięć tych, którzy zginęli w obozie jak prawdziwi bohaterowie, wierni ideałom człowieczeństwa i braterstwa do końca swego życia.

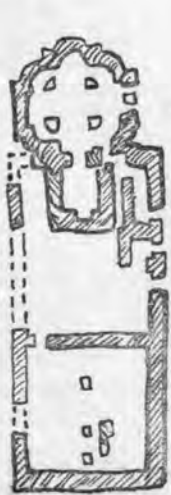
I z tym właśnie tow. Aleksander Szapowałow zwrócił się do Konsulatu Generalnego PRL w Kijowie. O to także prosił mnie w imieniu własnym i swoich współtowarzyszy, b. więźniów obozu w Ebensee. Tym bardziej, że obecnie przygotowuje zespołowy cykl audycji dla telewizji kijowskiej, w ramach których przewidziano także wspólne spotkanie (w połowie maja lub czerwca br.) z więźniami Ebensee, z Francji, Węgier, Grecji, Jugosławii, Polski, Hiszpanii i innych krajów, które ma być transmitowane przez Eurowizję. Nazwiska i adresy towarzyszy z innych krajów są częściowo znane towarzyszom radzieckim. Natomiast, prócz adresu dr Wł. Czaplńskiego, nie znają innych nazwisk i adresów współtowarzyszy obozowej niedoli z naszego kraju.

Dlatego właśnie i za pośrednictwem naszej gazety zwracają się do was: — Gdzie jesteście towarzysze z Ebensee? Odezwiście się, podajcie swoje aktualne adresy, celem nawiązania kontaktu z tow. Aleksandrem Szapowałowem (mieszkającym obecnie w Kijowie 87, ul. Niszczynskiego 5/29). Możecie także napisać do tow. Szapowałowa pod adresem redakcji „Kijowska Prawda”, Kijów, ul. Kreszczatnik 10.

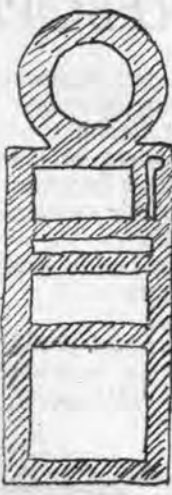
Niech te wspólne kontakty i wzajemne spotkania staną się jeszcze jednym dowodem kontynuacji braterskich uczuć i trwałości więzów przyjaźni, zadziergniętej w najcięższym i najtrudniejszym okresie waszego życia.

J. CHODZIŃSKI

0 5 10 15 m



LEDNOGÓRA



GIECZ



PRZEMYSŁ



ADAM JANUSZ BIENIĄ

## POSTANOWIENIE



Kobieta niechętnie uniosła głowę nad stosu pościelowej bielizny. Stos był wielki i wcale się nie zmniejszał. Tak przynajmniej wyglądało na pierwszy rzut oka i tak myślała kobieta, która prasowała od samego rana, układając na krzesłach osobno prześcieradła, osobno poszewki. W pokoju pachniało krochmalem i czystą bielizną.

Mężczyzna, który wszedł tu przed chwilą, wyciągnął z kieszeni chustkę; trochę brudną, kraciątą. Zanim się odezwał, wytarł głośno nos, bo zapach był drażniący; potem zakaszła znacząco i gdy poczuł na swej twarzy wzrok kobiety, powiedział „dzień dobry”.

— A wy tu co...  
Tamten zatrzymał się niepewnie w progu; nie szedł już dalej, nie zbliżał się do stołu, nad którym pochylała się kobieta.

— Czego tu szukacie? Obcym wstęp wzbroniony — powiedziała.  
— No co? O robotę wam chodzi... Trzeba zgłosić się do personalnego w biurze. Tu jest hotel.

— Ja nie do roboty — uśmiechnął się niesmiało mężczyzna. — Ja mam swoją... Ja tylko tak... Do synka przyjechałem, odwiedzić. Nie wiecie, gdzie on...  
— Nie!  
— To ja chyba pójdę...

— Idź, idź i nie zwracaj mi głowy, człowieku. Ja nie mam czasu. — Kobieta nie patrząc już na tamtego, pochylała się ponownie nad stołem i dotknęła poślinionym palcem podstawy żelazka, sprawdzając w ten sposób jego temperaturę.

Mężczyzna ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Spojrzył i nie wiedział, gdzie iść. Korytarz był długi... Sprzątaczką niosącą kubał wody zatrzymała się przy nim na chwilę i warknęła nań jak na psa. — Buty wytarłeś?

Mężczyzna drgnął; mimo woli spojrzął na swoje nogi. Buty miał wysokie z cholewami, ubierał je tylko od święta. Teraz leżała na nich warstwa kurzu. W zatłoczonym ciągu osobowym, którym włókł się przez całą noc, deptali mu po nogach. Ale błota nie było.

— Dzisiaj pogoda ładna — powiedział. — Słoneczko na niebie, a ten wiatr, co wiał w nocy, osuszył wszystko...  
— Ty z Białostockiego?  
Pokręcił przecząco głową.  
— Całe szczęście — powiedziała sprzątaczką. — Z nimi mam najwięcej kłopotów, butów nie wycierają cholery. Skierowanie masz?  
— Jakie skierowanie?  
— Do zakwaterowania. Numer pokoju i inne papiery. Co, nie byłes jeszcze u kierownika? Musisz się tam zgłosić. Pierwsze drzwi na lewo.

Na drzwiach wisiało ogłoszenie. Stanął przed nim i przeczytał wolno, z namysłem: „Interesantów przyjmuje się od godziny 8—15”. Zapukał, lecz nikt go nie zaprosił do środka. Kierownik bowiem telefonował. — Pani Jasiu — mówił uśmiechając się do słuchawki — to pani nie przyjdzie, naprawdę? Film jest śliczny. Bilety mógłbym kupić wcześniej, posłałbym po nie chłopaka, no więc jak... — Kierownik spojrzął w stronę skrzyżujących drzwi. — Chwileczkę, pani Jasiu... — I bar-

dzo służbowym głosem zwrócił się do tego, który wszedł: — Słucham?!

— Ja...  
— Zaczekajcie na korytarzu!  
— Dobrze.  
— Pani Jasiu, halo, halo... Jasia się wyłączyła.  
— Psiakrew! — zaklął kierownik, trzasnął słuchawką i zawołał w stronę korytarza: — Hej, wy możecie wejść! O co wam się rozchodzi...

— ...Żebyś nie zapominał o nas, i przyjechałem tu, aby ci to rzec, taki kawał świata się szargałem, z jednego końca na drugi w listach pisałem, ale tyś milczał i nie odpowiadał, matka myślała, żeś się ożenił, popłakiwała, „wstyd przed ludźmi — mówiła — jak ja im w oczy spojrzę, o nas, starych, nie pamięta, a przecież syn, syn rodzony”, to mi się nie podobalo, to jej plakanie i gadanie, więc poszedłem do gospody, „może stara ma rację”, myślę, w gospodzie przed południem pusto, cicho, bo ludzie już w polu, wiosna u nas, Franuś, wczesna, bardzo wczesna, bociany przyleciały jak nigdy, śnieg puścił dawno, niektórzy już posadzili, ale głupcy, ja w mroź jeszcze wierzę, on chwyci, zobaczysz, ale wtedy, gdy poszedłem do gospody, rzuciłem wszystko, bo dla kogo będę harował, pytam się, ja stary, co mi z tego, matka mówi, żeś się ożenił bez naszej wiedzy, nieładnie, myślę sobie i zamówiłem piwo, jedno i drugie, bufetowa, wiesz, ta Hanka, trzeci kufel mi stawia i pyta: — Pragnienie was męczy? — Kiwnąłem głową: — Ażebyś wiedziała, Hanuś. — No to pijcie — uśmiecha się do mnie — piwo dobre, wczoraj świeży towar dostaliśmy. — Stolik wytarła i poszła. Ona jeszcze wolna, Franuś, tyś tam trochę z nią... ale ja nie o tym, bo to twoja sprawa, ja tylko mówię, żeś nas zamartwił, listów nie przysyłałeś i dlatego przyjechałem, aby na własne oczy zobaczyć co z tobą, bo gdy piłem to piwo siedząc w naszej gospodzie, to myśli mi taka do głowy przyszła, żeby jechać do ciebie, żeby pogadać i postanowić coś, co z tą ziemią robić, bo ty w mieście, a ja sił już nie mam, matka wciąż powtarza, żeś się ożenił, pewno kościelnego nie wziął ino tak — mówi i płacze, lzy jej kapią, a ja na to, że nie się nie poradzi, powiadam, jego rzecz czy on z kościelnym, czy bez, ale matka nie słucha, oczy wciąż wyciera, chlupie, więc ja w tej gospodzie postanowiłem i...

— Upiłicie się.  
— Nie, Franuś, nie!  
— Matka znów się wami martwiła?

— Nie Franuś.  
— Ech, ojciec...  
— Jak Boga kocham — rzekł stary i uderzył pięścią w stół. — Ty mi, Franuś, nie ufasz, a czego, pytam, no czego milczysz, wszak nie kłamie...

Tamten się nie odzywał.  
Wówczas stary podniósł głos: — Bóg mi zaświadczy! — wrzasnął. — Słyszysz... — Rozglądął się wokół, jakby szukał kogoś, kto mógłby mu zaświadczyć, lecz nikt nie zwrócił nań uwagi, wszyscy zajęci, jak

zawsze, swoimi sprawami, i krzyk starego utonął w gwarze bełkotliwych rozmów, bo knajpa nabiła była po brzegi, przy stolikach stały dodatkowe krzesła, ciasto, kelner zachrypnięty od ciągłego mówienia „przepraszam” z trudem dopchał się do nich i zapytał o co chodzi. — Panowie płacą, w porządeczku, zaraz policzymy, co tu było, aha, śledzik dwa razy, sałatka, wódeczki...  
— Jeszcze dwie!  
— Pan życzy sobie...  
— Duże — powiedział stary.  
— Może wystarczy — wtrącił się Franuś. — Tata ma dość!  
Stary się rozplakał.

— Taki kawał do ciebie jechałem, szargałem się przez świat osobowym, bo taniej, a ty...  
Hahaś panował wielki, tak wielki, że młody mężczyzna musiał się nachylić, aby zrozumieć słowa ojca.  
— Co tata mówią?

— ...Że zapominasz o nas, Franuś, żeś się uparł i wypić nawet nie chcesz z rodzonym ojcem, bo gardzisz!

Kierownik puścił pannę Jasię. Nie miał na to ochoty, lecz musiał, gdyż ona pisnęła, że ktoś idzie.  
Ciężkie, chłopskie kroki dudniły po korytarzu.  
Kierownik cicho zaklął, a panna Jasia schowała się z głową pod koidrę.

— Może kontrola...  
— Nie bój się najdroższa — rzekł kierownik. — Jakby kontrola, to bym coś przedtem wiedział. Przecież ja tu rządzą.

Z korytarza dobiegała do ich uszu radosna pieśń. Kierownik wreszcie nie wytrzymał, zdenerwował się ogromnie i wyskoczył w gaciach na korytarz, zapominając włożyć spodnie.  
— Spokój! — ryknął na cały głos. — Cisza nocna obowiązuje czy nie?! Tablica wisi... Wisi! Czytać nie umiesz chłame jeden z drugim, chcesz, żebym cię nauczył albo wyłał na zbity pysk... — Nadsluchiwał. Myślał, że tamci coś powiedzą zdradzając się własnym głosem. Ale po chwili daremnie oczekiwania wrócił do panny Jasi mocno zadowolony. Usłyszał bowiem tylko cichy niewyraźny i niezrozumiały szep: — Cśś... tata... nie śpiewajcie... ech, tata...

Dzień wstawał ładny. Przez okno zaglądało słońce. Ponieważ świeciło mu prosto w twarz, musiał zmrużyć oczy. „Trzeba iść w pole”, pomyślał i już chciał się zerwać z łóżka, chciał powiedzieć „matka, daj trochę mleka”, ale powstrzymał się w samą porę. „Przecież ja nie u siebie — szepnął — u synka jestem, to jego pokój i jego łóżko”. Dotknął dłonią materaców. Mieciutki, choć państwowe. Dbają o nich, trzeba przyznać. Pod tyłkiem wygodnie tak samo jak pod głową.  
— Ojciec...  
Stary otworzył oczy.  
— Co mówisz, Franuś?  
— Idę już — rzekł tamten. — Kierownik chyba nie będzie chodził po pokojach, a sprzątaczkę dam kopernika, więc pośpijcie jeszcze trochę, możecie sobie poleżeć za wszystkie czasy, potem idźcie na obiad, ja przyjdę dopiero po robocie.

Po wczorajszym wieczorze stary czuł się niezbyt dobrze; kięło go coś koło serca, słaby był i ogarniała go wciąż senność. Miał ochotę pospać sobie jeszcze trochę, ale na korytarzu zaczęły trzaskać drzwi, a później do pokoju wtargnęła sprzątaczką.  
— Spieś się — rzekła. — To wiadać od razu. — Zbliżyła się do łóżka i bez ceregieli uniosła koc.  
Stary się zaniepokoił.  
— Co wy... — rzekł. — Co wy, obywatelko... — Ciągnął koc w swoją stronę starając się ukryć włochatą pierś. — Czego chcecie ode mnie?  
— Nic — odparła sprzątaczką. — Patrzę tylko, czy masz nogi czyste, bo mi z butami wiaza do łóżka, a prześcieradła świeżutkie, dopiero co wzięte z pralni. Twoje giry są jednak możliwe, śpij dalej! — Machnęła ręką zabierając się do swojej roboty i nie zajmując się dłużej starym, który spojrzął w okno. „Teraz nie usnę — pomyślał — bo słońce wysoko; trzeba wstać trzeba ptakom okruhów nasypać, jak codziennie...”. Podniósł się na łokciach, spoglądając w stronę okiennej szyby i nagle zdał sobie sprawę, że widział w tym miesście dużo dymiących kominów, dużo fabryk i szos pełnych samochodów; szedł ulicami, przez które przecisnął się trudno, lecz nigdzie nie spotkał ptaków. — To dziwne — mruknął pod nosem. — Czyżby tu było więcej ludzi niż ptaków...  
Sprzątaczką odwróciła głowę.  
— Mówiłeś coś? — zapytała.  
— Nie...  
— To czego mruyczysz jak niedźwiedź?

— He, he... — zaśmiał się stary.  
— O, jaki wesoły! — rzekła sprzątaczką. — Patrzcie go... — Przeszła zamiatać podłogę i splatając ręce na brzuchu, patrzyła na starego. — Śmieje się nawet — mówiła — a wydawało się, że taki mruk, że pogadać z człowiekiem nie zechce, a przecież człowiek jest tylko człowiekiem i od czasu do czasu porozmawiać sobie kulturalnie potrzebuje. Bo jakże, tylko zamiatać i zamiatać, a niech to szlag... Słuchaj no, co tam u was nowego?

— A nic — rzekł stary. — W Przeworsku dworzec robią.  
— To ty nie z Białostockiego?  
— Ja od Przeworska — powiedział stary. — A czemu się pytasie?

— Bo mam tam kuzynkę.  
— W Przeworsku? — zainteresował się stary.  
— Nie, w Inowrocławiu.  
— W Jarosławiu?  
— A może i w Jarosławiu. Gdzieś tam... Chociaż na koperce, znaczy się na pieczęcie pocztowej, stoi Inowrocław — rzekła sprzątaczką. — To chyba niedaleko od ciebie. A ty po co tu przyjechałeś?  
— Po synka.  
— Zabierasz go?  
— Ano...  
— Nie chcesz mieć synka w miescie?

— Mam już dwóch — powiedział stary. — Jeden w samej Warszawie w ministerium pracuje. A przecież ktoś musi robić w polu, no nie? Dlatego chcę, żeby ten przynajmniej wrócił.  
— I jak? — spytała zaciekawiona sprzątaczką. — Co on na to...  
Stary rozłożył bezradnie ręce.  
— Jeszcze nic nie powiedział.

Spieszył się, bo miał być punktualnie o czwartej. Ale po robocie zrobili im zebranie i musiał się na nim zatrzymać. Nie zdążył więc na czwartą i teraz z pewną obawą wchodził do baru. Będzie czy nie...  
Była! Tam, w samym rogu. Spozstrzegł ją dopiero wtedy, gdy dała mu ręką znak. Zaczął przepychać się między stolikami.  
— Chciałem wcześniej — powiedział — lecz...  
— Dobra, dobra — rzekła. — Cześć, miałeś wypłatę?  
— Tak, dzisiaj.  
— Ile?  
— Jak zawsze.  
— Mało — powiedziała. — Cholernie mało. Nie mógłbyś więcej zarabować.  
— Majster mówił, że od czerwca... Rozzłościła się:

— Majster, co tam majster! Bóg? — No nie...  
— Na fryzjera mi trzeba...  
Mężczyzna sięgnął do kieszeni. — I na inne drobiazgi!  
Zaszeleścił pieniądze.  
— Czemu jesteś taki brudny? — zapytała.  
— Nie zdążyłem...  
— Ludzie się patrzą.  
— To niech się patrzą! Co, zło-dziej jestem, wstydzisz się mam, że z roboty, że...  
— Cicho!

— Dobrze — powiedział i już nie krzychał. Spojrzył na nią, a jej się wydawało, że on patrzy błagalnie. „Zaraz coś powie”, pomyślała, „zaraz będzie czegoś chciał”. Znała go bowiem dosyć dobrze. Potrafiła czytać w jego twarzy pozbawionej umiejętności nakładania masek. Teraz, mrużąc ironicznie oczy, spoglądała nań i uśmiechając się czekała...  
— Dziś nie pójdziemy do kina.  
To ją trochę zaskoczyło.  
— Dlaczego? Ja chcę iść!  
— Nie mogę, ojciec przyjechał...  
— Nie mówi się „przyjechał”, tylko „przyjechał”!  
— Tak — powtórzył bezmyślnie — przyjechał...  
— I co z tego?  
— Myślałem, że go poznasz, że porozmawiamy...  
— Muszę iść do fryzjera — rzekła szybko dziewczyna patrząc na zegarek. — Dzisiaj dużo ludzi.  
— To on pojedzie...  
— Niech zaczeka!  
— Pociąg ma...  
— A ja mam fryzjera. Zamówi-ony.

— To ja pójdę sam — mruknął mężczyzna w kombinezonie. — Muszę. Ojciec czeka... Taki kawał świata się włókił, taki wielki...  
Podniósł się z krzesła. — Ja naprawdę muszę... Wiesz, on chce, że bym wrócił, tam...  
— Tak...? — zdziwiła się dziewczyna. — I co, do gnoju wrócisz?  
Tamten nic jej nie odpowiedział. Kopnął tylko nogą krzesło.  
— Spokojnie — rzekła dziewczyna. — Bez nerwów, dobrze? Postanowiłeś... No mów, do cholery, zamurowało cię? A może ja ci się nie podobam?

Mężczyzna milczał. Potem odwrócił się nagle i zaczął iść szybko przez salę. Nie oglądając się już poza siebie; szedł prosto w stronę drzwi: dużych, oszklonych, prowadzących na ulicę. Ludzie odsuwali się od niego, bo miał kombinezon zabrudzony tłustym smarem.

ADAM JANUSZ BIENIĄ

## CELINA KARCZ

## TY WIESZ

Ty wiesz ile może mi dać  
Uśmiech twych dłoni  
Przesuwających po moim ciele  
Marzenia w przeszłość

Słyszysz trzepot skrzydeł  
Tego co powiedziane  
Wczoraj.  
I boisz się śmierci

Tam będzie kolor twych oczu  
Bez dłoni i miłości  
I koc w czerwono-czarną kratę.



ANDRZEJ ZABIEROWSKI

## CHLEBOPIEKI

Pszenniany zasiew najpierw kładą  
drewniane palce czarnych świątków  
co od starości ślepną z wiatru  
i jak ośródka ciszą chlebną  
wiechcie poźółtkie odgradzają  
by dojrzało dla kamieni ziarno  
a dla ognia zaczyn  
Potem zawiązą lepkie kształty  
niknięciem dymu  
i stukając

w już upieczone  
owocem nocy jak latarnią  
poblogostawią chlebobieki.





# Spuścizna Konopnickiej nadal żywa

Wzniesione wydania wierszy Konopnickiej — wybór poezji w tzw. serii celofanowej Państwowego Instytutu Wydawniczego, nowe opracowanie Aliny Brodzkiej, sympozjum naukowe, jakie w styczniu br. obradowało w Gdańsku na temat „Konopnicka i Nowowiejski”, powstawanie nowych kół Towarzystwa im. Marii Konopnickiej dowodzą, że różnorodna i bogata spuścizna pisarki w wielu środowiskach nadal jest żywa, budzi zainteresowanie.

Na sympozjum w Gdańsku mówiono o udziale Konopnickiej i Nowowiejskiego w kształtowaniu postawy Polaków, budzeniu ducha patriotyzmu, w związku z Rotą. Przypomniano, że Rota powstała na uroczystości 500-lecia zwycięstwa pod Grunwaldem, połączone z odsłonięciem pomnika w Krakowie (który ufundował Paderewski). Tytuł oryginału opiewał pierwotnie „Hymn Grunwaldzki”.

Niewiele też pamięta o tym, że autor muzyki do Roty — Feliks Nowowiejski zmarł przed 20 laty już w Polsce Ludowej i przeżywał

jeszcze swoisty renesans tej pieśni, która towarzyszyła zwycięskiemu zakończeniu wojny z hitlerowskim najeźdźcą, gdy Polska obejmowała w posiadanie prastare piastowskie ziemie, a również Warmia — rodzinną ziemię kompozytora — powracała do Macierzy.

Badaniem tym patronuje Zarząd Główny Towarzystwa im. Konopnickiej w Warszawie, kontynuując je Państwowe Liceum Muzyczne w Gdańsku. Wśród prelegentów sympozjum gdańskiego wystąpił również syn kompozytora — dr Feliks Nowowiejski z Poznania. Działalności muzycznej i społecznej Nowowiejskiego poświęcone były referaty mgr S. Boehma z Olsztyna, dr Poźniaka z Krakowa, a temat Roty mówiła mgr Justyna Leo z Warszawy i in. Obecnie wysiłki idą w tym kierunku, by materiały z gdańskiego sympozjum mogły ukazać się drukiem.

Przy współudziale Towarzystwa Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza zamierza również sfinalizować edycję drugiego wydania pracy zbiorowej pt. „Śladami życia i twórczości Marii Konopnickiej”. Na war-

szacie jest wydawnictwo o robotniczym tytule: „Maria Konopnicka a współczesny jej świat literacki” z uwzględnieniem związków pisarki z Asnykiem, Gomulickim, Kraszewskim, Lenartowiczem, Orzeszkową, Prusem, Sienkiewiczem, Świętochowskim i Żeromskim. Są też czynione starania, by przyspieszyć przedłużający się nadmiernie okres przygotowań do wydania korespondencji Marii Konopnickiej, zawierającej szczególnie bogate przyczynki zarówno do jej twórczości, jak i do epoki, w której tworzyła.

W poczynaniach tych wiele zależy od operatywności komisji wydawniczej istniejącej przy ZG Towarzystwa, grupującej znanych krytyków, badaczy literatury oraz literatów.

O tym, że najżywością stonkowo jest spuścizna poetki wśród dzieci, świadczy wysokość funduszy zebranych przez redakcję „Pióreczki”, przeznaczonych na budowę pomnika pisarki: w Sankim Ogrodzie w Warszawie rozpoczęła się montaż tego pomnika, odsłonięcie zaś nastąpić ma w maju bieżącego roku (lata 1962—1967, to rocznice 120 i 125-lecia urodzin poetki).

Pod koniec tego pięciolecia, w r. 1967 zrealizowany zostanie projekt pomnika Marii Konopnickiej w Kaliszu, mieście związanym z jej życiem, gdzie miejscowi poloniści prowadzą ożywione badania nad dziełem pisarki.

Na terenie kraju istnieje 70 szkół imienia Marii Konopnickiej: w roku bieżącym Zarząd Główny Towarzystwa zamierza znacznie pogłębić więź nie tylko ze swoimi kołami w terenie, ale i z tymi szkołami, podczas gdy muzycznym szkołom zaproponowano wdzieczny temat „Konopnicka w muzyce i w śpiewie”.

W ciągu ostatniego roku dla muzeum biograficznego poetki w Żarnowcu powołano radę muzealną, w której skład weszli przedstawiciele Wydziału Kultury Prezydium WRN oraz PRN w Krośnie, muzeolodzy, miłośnicy dzieła Konopnickiej, członkowie żywego koła w Żarnowcu i in.

W Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie, jest w stadium organizacji koło Towarzystwa im. M. Konopnickiej. „Kwartalnik Rzeszowski” drukować będzie studium na temat udziału Konopnickiej w walce z nurembergiem na terenie b. zaboru austriackiego itp.

Można się więc spodziewać, że kiedyś z funduszy przez Towarzystwo stypendiów dla młodej studentki polonistki na wyższych uczelniach, piszących prace doktorskie, skorzysta również stypendysta z naszego województwa, wzbogacając swoją pracą dorobek badań nad twórczością pisarki z Rzeszowszczyzny.

C. BŁONSKA



Historyczne to już czasy bez mała, kiedy pierwszy raz usłyszeliśmy głos Stanisławy Perzanowskiej, roztrzęsiony wiecznymi troskami, czasem załamujący się krótkim płaczem, czasem przedzielony czerzą dobrodusznego śmiechu, głos stryjki Gienka, pocieszający Józusia. Urodziła się wtedy powieść radiowa o robotniczej rodzinie, w miarę konformistycznej, w miarę zadowolonej, w miarę zatroskanej, w sumie — pogodnej i żyjącej bardzo małymi sprawami dnia powszedniego. Model „chwycił”, cykl rozrósł się, zwolennicy — radiostuchacze przysyłali pani Matysiakowej, nie tylko serwetki wśród setek często kłopotliwych prezentów, ale i pieniądze na dom spokojnej starości, który dziś otworzył starcom swe podwoje. Fikcja stała się rzeczywistością. Przekonała o zapotrzebowaniu, o tęsknocie za naturalistycznym wzorem rodziny, gdzie nie wszystko najlepiej się toczy na najlepszym ze światów.

Obok „Matysiaków” powstał inny wzór powieści — może bardziej konfliktowy, ale równie naturalistyczny — „W Jezioranach”. Także się przyjęły. Także ma swoich słuchaczy.

Teledziwizja po przeszło 10 latach istnienia, w czasie których nie próbowała nawet pokusić się o własną rodzinę, ale za to rozmyślała dość żywo o autoreklamie, wspólnie ze Stefanią Grodzieńską zarzykowała... Powstała „Szkłana niedziela”. Gdzieś jej tam z początku było do tłumów gości przewijających się przez gościnny dom Matysiakowej; cztery osoby skromniutko usadzone przed telewizorem, czyniły wszystko, by nam zachwalić program, który „pójdzie” za chwilę i trzeba przynajmniej czyniły to z wdziękiem, wśród przekomarzań i niezłych dowcipów.

Tak trwał kilka miesięcy, aż niepostrzeżenie Szafarska, Szczepkowska i Ewa przeszły metamorfozę z zachwalaczy programu w autentyczną rodzinę inteligentną, znowu co prawda bezkonfliktową, dobrze sytuowaną, udzielającą telewizorom pełnię powabów życia rodzinnego.

I nic to pewnie, że tak niewiele rodzin odpowiada stworzonemu przez Grodzieńską wzorowi idealnego domu; on istnieje, przyjęł się w świadomości telewidza, bawi i... robi konkurencję „Matysiakom”. Bawi dwojkiem. Rodzi zwolenników przez dobre aktorstwo. Relaksuje nas. Wcale więc nie od rzeczy i nie z przypadku złożyła telewizyjnej rodzinie wizytę pani Perzanowska, wyjaśniając ukryte mechanizmy aktorstwa Matysiakowej; coraz częściej przychodzą goście z zewnątrz, poszerzając światek pani doktor o własne sprawy. Co prawda wszystko to jeszcze nieco przypadkowe, jak owo czterech mężowie pełnej kobiecości i dojrzałego wdzięku Justyny Kreczmarowej z ostatniej „Szkłanej niedzieli”, ale podejrzewam, że na naszych oczach rodzi się wzór telewizyjnej powieści rodzinnej. Daleki od doskonałości, zbyt jednostronny, jeszcze spełniający rolę kabareczka reklamującego w telewizji pracę telewizyjną, ale wzór, który wciąga w grę. Jest miły. Do przyjęcia.

Jest w nim przy tym sympatyczny konkursik, wybierający gwiazdę miesiąca — na tyle niezobowiązujący, na ile trafny. Ostatnią gwiazdą, co podaje z wielkim zadowoleniem, został wybrany przy powszechnym aplauzie Jan Wilkowski — maśter najznakomitszy od dziecięcej, audycji „Ula z II b”. Nie wiem, czy wiele jest osobowości o tak wszechstronnym talencie jak Wilkowski, który pisząc znakomite, dowcipne i naszpikowane zarazem akcentami prawdziwie pedagogicznymi teksty, jest jednocześnie równie znakomitym ich wykonawcą; stwarza typ o niepowtarzalnym uroku dziadka-zrędy, dziadka-instrukcji dziś mało rozpowszechnionej, dziadka-opiekuna, nauczyciela, przyjaciela skrzatów. Może właśnie przez swoją nietypowość, przez urok wzoru odchodzącego, zanikającego, przez nawiązanie do tradycji dziadków-emerytów, zakochanych we wnukach, Wilkowski jest tak sympatyczny i realizuje swoje „Ule” dla 7-latków i 70-latków; dla każdego wieku?

Szkoda tylko, że awansując na gwiazdę miesiąca, pokonał przeciwnika równie inteligentnego i oczekiwanego w telewizji — Stefana Treugutta. Nie tracąc nadziei, że w przyszłym losowaniu Treugutt dał nam szansę, dopowiem, że ten znakomity krytyk dysponuje urokiem prawdziwego gawędziarza, który rzeczy trudne i pozornie niewiedzące, jak omówienia przed spektaklami teatralnymi, przetwarza w pełną erudycję i zarazem prostotę rozmowę z telewidzem. Niewiele krytykom na ogół to się udaje; wielu z nich nudzą, nie tylko nie uczy teatru, ale odeń odstrasza. Ze zwykłej przyzwyczajenia nie wymienię ich nazwisk, choć paru z nich nie słucham już konsekwentnie od lat...

*Krzysztof*

P. S.

Spiker-archeolog Pach zabawił nas w czwartek, rozważając z rozbrajającą swobodą, jaki też dzień dzisiaj mamy. Spiker-archeolog zrobił to z wdziękiem, więc mu wybaczamy omyłkę dwudniową. Nie wybaczamy natomiast telewizji idylotycznych pomysłów nadawania westerów w sobotnie przedpołudnie. Nie wybaczamy, bo mamy dzieci, które po takiej zapowiedzi zaczynają boleć gardła i głowy, które znany sobie tylko sposobami usiłują wykreślić się od szkoły. Program ostatniej soboty, tak znacznie zapelniony od razu, przeznaczony był pewnie ku powszechnemu rozluźnieniu dyscypliny pracy, a to proszę instytucji państwowej — telewizji niezbyt przecie uchoździ...

K.

RYSZARD BILSKI

## Melodie z za wody

Nad głową kierownika Micała wisi efektywna i duża mapa kulturalna powiatu łańcuckiego. Zaznaczono nań istnienie nawet najmniejszego i najmłodszego zespołu artystycznego. Miniaturowe mandoliny ozdobiają kapele, maski — zespoły teatralne, a tańczące pary — zespoły weselne. Tańczących par naliczyłem aż osiem. Tyle bowiem wesel ludowych zostało uratowanych przed zapomnieniem w tym powiecie. Ich autorzy to najczęściej najstarsi mieszkańcy Kraczkowej, Bud łańcuckich, Husowa... Na podstawie opowiadań sąsiadów, często także i własnych wspomnień, spisali dawne obrzędy weselne, melodie, zwyczaj.

Ale to było dopiero pół roboty. Prawdziwa zaczynała się z chwilą przystąpienia do realizacji również śmiałego i cennego pomysłu — wpro wadzenia wesel na scenę. Powiodło się, wszystkie wesela zaprezentowano na scenie, większość z nich nawet kilkakrotnie i to nie tylko w wiejskich świetlicach, domach kultury. Zorganizowano przed laty w powiecie przegląd wesel cieszący się ogromnym powodzeniem, a weselnicy z Krzemienicy „sprzedali” „Mazowszczy” jeden ze swoich tańców podczas wizyty w Karolinie.

Przewoźnik gotów był nas przetransportować przez Wisłok. Ale co później? Marcowe błoto „pochłone-łoby” z pewnością samochód. Zrezygnowaliśmy więc z promu, na konto wiszącej kładki. Błoto było rekordowe, dojrze, że chociaż jeden z miejscowych pocieszył nas... — ee, to jeszcze nie takiego, ten kawałek szyko przedziecie, znacznie gorzej jest przed gromadzką radą, tam w swoich trzewczkach nie miałby się pan co pokazywać.

— Ostatnie wesela w ludowym wydaniu — wspomina Józef Porębny — odbyły się w 1925 r. Na ślubnym kobiercu stanęli wówczas: Emilia Bartnik i Roman Bielówka. Tak się jakoś złożyło, że panna młoda w naszym weselu nosi imię i nazwisko swej poprzedniczki sprzed 40 lat.

Pomysł wystawienia wesela zrodził się u starszych mieszkańców wsi, namówiliśmy młodych, dziewczęta i chłopcy wzięli się z zapałem do przepisywania ról, szenia strojów, rozpoczęły się próby...

Ale wcześniej trzeba było wesela „zabrać”, napisać i opracować. To zrobił właśnie Porębny, nadal jeden z najlepszych muzykantów w okolicy. Bo trzeba wiedzieć, że Budy łańcuckie są bardzo rozpiętą i rozmiłowaną w muzyce wsią. Wymienia tylko kilka nazwisk: Roman Król, Stefan Kostka (prowadzą chóry mieszane), Jan Kurek. To doskonale odtwórcy i interpretatorzy melodii ludowych. Dumni są, że jeden z ich „krajaków” — Roman Kostka gra nawet w Filharmonii Krakowskiej.

Z budziańskich muzykantów stworzyć by można nie jedną, lecz kilka kapel i zespołów tanecznych (orkiestr). I w zależności od sytuacji i potrzeb to się właśnie robi. Reprezentacyjną kapelą kieruje już ponad 10 lat Józef Porębny. Miał 16 lat, kie-

dy matka sprzedawała mięs tam kur i kupiła synowi pierwszy w życiu instrument — upragniony klarinet. Grać uczył się z początku sam. Później starsi widząc niewątpliwą talent zaopiekowali się „Jankiem Muzykantem”, każdy z nich chciał go skaperować do swojego zespołu. Grywał z Antonim Czechem, Józefem Kostką, którzy nauczyli go wielu starych melodii. Dziadek był basistą, niejedno wesele „obegrał”. Opowiadał wnukowi, jak to dawniej bywało.

Toteż gdy przyszło do pisania wesela. Porębny miał od czego zacząć. Wiedział co i gdzie szukać. Odwiedził najstarszych mieszkańców wsi. Śpiewali mu i opowiadali, a on notował i pisał nuty melodii (skończył swego czasu kurs dyrygentów chóru). Ojciec był krawcem, pamiętał więc doskonale, jakie noszono przed laty kamizelki, spodnie.

— Od wartości do „chały” jest tylko jeden krok — mówi Jan Micał. Otoczyliśmy więc Porębnego i innych twórców ludowych opieką. Pomogło nam w tym istniejące w Łańcucie Polskie Towarzystwo Ludoznawcze. Dlatego m. in. rezultaty są w pełni zadowalające. Mówił to z takim przejęciem, jakby widział właśnie 65-letniego Jana Ciupńskiego w roli dziada weselnego, dziarsko uwijającego się w tańcu lub 60-letniego Mieczysława Dyrę, ojca pani młodej.

Kiedy w 1961 roku przy wypełnionej po brzegi sali Domu Ludowego w Budach łańcuckich (do tego stopnia, że kilka osób zemdało) wystawiano wesele, starym zakreśliła się lezka w oku, a młode panny nie mogły się nadszwić, jak pięknie było, kiedy ich mamy wydawały się za małe.

Wesele budziańskie trwa na scenie ponad 3 godziny. Tak jak inne umożliwia nam poznanie niespotykanych już dziś ceremonii związanych z tą ważną chwilą w życiu człowieka. A że do serca (mężczyzny) trafia się najczęściej przez żołądek, z dużym zainteresowaniem śledzą np. widzowie, co się wówczas na weselach jadło. I doszedłem do wniosku, że nie ma co porównywać i żalować. Dziś na ucztę weselną bierze się np. pożyczkę na kupno... krowy i goście przez dwa dni mają za co jeść i pić do upadłego. Bo „bogatość” wesela mierzy się najczęściej litrami wypitego spirytusu.

Mateuszowa z budziańskiego wesela tak prezentuje jadłospis weselny: „jak zwykle na weselu (będzie) kapusta, ziemniaki z rosółem, słodka kasza i syr dzieżkowy z chlebem”.

Wódki było na weselu niewiele, za to piwa nie brakowało.

Wesele budziańskie jest nie tylko dokumentem, posiada również dużą wymowę społeczną. Postępujemy dialogu Mateusza z żoną:

— Słuchaj Mateusz, to będzie mało tych stolików. Trza przecież dwa stoły dla lepszych gości. Jak se ty myślisz — przecież chyba i rżońca (rządca) przyjdzie do nas... rżońca

(Ciąg dalszy na str. 6)

## NOWE KSIĄŻKI

„JAN MATEJKO”

„Jan Matejko” — biografia w wypisach — opracował Jan Gintel, zainteresuje nie tylko plastyków, ale wszystkich miłośników sztuki.

Zasadniczym założeniem autora nie była charakterystyka ani ocena samej twórczości malarza, lecz ukazanie dzieł jego życia jako człowieka i artysty, który dzięki swej sztuce zyskał niezwykle znaczenie w społeczeństwie. Czytelników na pewno zainteresują poglądy piszących o Matejce współczesnych mu ludzi. Szczególną wartością tej książki jest to, że mówi o Matejce językiem jego listów, oraz wspomnień listów i wypowiedzi ludzi jemu współczesnych. Pozwala nam to obcować bezpośrednio z atmosferą, obyczajami i sposobem wyrażania się tych, wśród których żył jeden z największych twórców narodowych. Książka ułatwia nam również zrozumienie zawilży kole dzieł jego życia i sztuki Matejki.

Biografia jest bogato ilustrowana dziełami Matejki.

Jan Gintel — Wydawnictwo Literackie, Kraków 1963 r., cena 95 zł.

KIEDY MORZE SIĘ COFA

Autorem tej pasjonującej powieści, która w 1963 r. odznaczona została Prix Goncourt jest Armand La-

noux, laureat kilku nagród literackich. W swoim dorobku pisarskim ma parę powieści, szereg esejów, m. in. głośny „Fizjologia Paryża” oraz dwa zbiorki poezji. Jeden pt. „Colporteur” uzyskał nagrodę im. Apollinaire’a w 1959 r.

Powieść „Kiedy morze się cofa”, choć stanowi zamkniętą całość jest kontynuacją cyklu prozy refleksyjnej poświęconej problemowi wojny i jej odbiciom powojennej egzystencji człowieka.

Kanadyjczyk, uczestnik największego ładowania, jakie zna historia wojen (inwazja alianatów w Normandii w czerwcu 1944 r.) po latach przyjeżdża do Francji z narzeczoną swojego przyjaciela, który zginął w czasie inwazji.

Czytelnik wraz z bohaterem przeżywa dramatyczne godziny w pochmurny normandzki dzień, który tak wiele decydował o losach ostatniej wojny.

Obrazy inwazji autor przeplata świeżymi wrażeniami — refleksjami dnia dzisiejszego. Czy ta niezwykła konfrontacja ukoł wewnętrzny niepokój byłego żołnierza, czy „wojna nigdy się nie kończy dla tych, którzy brali w niej udział” — oto problemy, które autor niezwykle głęboko rozważa w swojej powieści, zasługującej na szczególną uwagę czytelników.

Armand Lanoux, Czytelnik 1966 r., cena 24 zł.



# Melodie zza wody

(Ciąg dalszy ze str. 3)

nie będzie razem z fornałem siedział. Zabierze się i pójdzie do domu. — To niech idzie, ja to do niego nie pójdę.

ślubiła biednego, lecz bliskiego swemu sercu Michała.

RYSZARD BILSKI

P. S. Od dwóch bodajże lat namawiam kierownika Wydziału Kultury Prez. PRN w Łańcucie Jana Micała.



...na drugi brzeg Wisłoka przeszliśmy po wiszącej kładce.

Zdjęcie: R. BILSKI

Później podczas nieobecności żony Mateusz przechwalał się sąsiadom — gościom weselnym:

— ...moja nie wie, a ja namawiał Michała z Maryną, żeby rżończy nie prosili. I choć kanonika prosili, to on ta bez rżończy nie przyjdzie.

Na to jeden z gości odpowiada: a toście dobrze zrobili. Ja na tego rżońcę pozerać nie mogę. Wolałbym psa wściekłego widzieć jak jego.

I na nie zdążyli się starania Mateuszowej, która z myślą o rżończy i księdzu kazała zładować dobry obiad, a specjalnie zamówionej kucharce dostarczyła 3 kury, śmietanę i masło. Toteż kiedy dowiedziała się, że oczekiwani goście nie przyjdą, użyła sobie na nich nie oszczędzając co pikantniejszych słów.

Dziś małżeństwa dobierają się same. Dawniej rodzice decydowali. Zaślępiona w bogatym Wicku Mateuszowa tak namawiała córkę: Słuchaj mnie, jak pójdiesz za Wicka, to cię wszystkie dziady będą na rekach nosić i będziesz panią na całe Budy... Wicek, choć gadają, że pisać nie umie i wójt na Budach ostanie.

Na nie się jednak zdąży namawiania i mocne argumenty. Maryna po-

## Podsumowano wyniki konkursu — plebiscytu „Bliziej Ksązi Współczesnej”

Podczas posiedzenia Wojewódzkiego Komitetu Organizacyjnego Festiwalu Kultury i Sztuki związków Zawodowców i Robotników w Miastach i Wsiach, podsumowania przebiegu w bibliotekach związkowych, konkursu-plebiscytu „Bliziej Książki Współczesnej”, ogłoszonego przez redakcję „Głosu Fracy”.

Jak wynika z nadesłanych do WKZZ materiałów i ich oceny, I miejsce zajął Zarząd Okręgowy Zw. Zaw. Metalowców, II miejsce zajęli hutnicy, a III chemicy.

20 bm. w hali sportowej w Mielcu odbyła się zorganizowana przez Zarząd Okręgowy Zw. Zaw. Metalowców i Ra.ę Zakładową miejscowej WSK, uroczystość zakończenia konkursu „Bliziej Książki Współczesnej” w placówkach podległych temu związkowi. I miejsce zajął WSK Mielec, II WSK Dębica a III Sanocka Fabryka Autobusów. Kolejne miejsca zajęły WSK Rzeszów i Tarnobrzęska Fabryka Obrabiarzek. Podczas uroczystości najlepsi bibliotekarze i wyróżniający się w propagowaniu konkursu aktywni otrzymali nagrody. Odbyło się również losowanie nagród rzeczowych dla uczestników plebiscytu z miejscowej WSK. W części artystycznej wystąpił z nowym programem artystycznym Zespół Pieśni i Tańca „Rzeszowiacy” zatytułowanym „Tobie ojczyzno, nasza pieśń — nasza myśl — nasza praca”.

(stanski)

by z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego, a rok bieżący jest ku temu szczególną okazją, zorganizował przegląd weseł łańcuckich. Pochłonięty bez reszty budową powiatowego domu kultury bezradnie rozkłada ręce. Nie podolał — mówi. Ale przecież wszystkim nie musi pan robić sam. Oprócz okazji jest także i potrzeba zorganizowania przeglądu, ponieważ zespoły, które od czasu do czasu nie występują na scenie, przestają istnieć i się rozpadają. (R. B.)



Redaguje:

EDMUND GAJEWSKI

rys. JERZY SIENKIEWICZ



ZOFIA BILUTOWA — sekretarz Zarządu Okręgu ZNP w Rzeszowie. Rys. J. SIENKIEWICZ

## „Rzeszowszczyzna w prozie XX-lecia” — poradnik bibliograficzny WiMBP

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie wydała ostatnio opracowaną przez Paulinę Pasińską bibliografię pt. „Rzeszowszczyzna w prozie 20-lecia”. Wydawnictwo ma charakter poradnika bibliograficznego i opracowany został z myślą o szerokim kręgu użytkowników, interesujących się problemami województwa rzeszowskiego. Poradnik obejmuje utwory prozatorskie,

wydane w latach 1944—1983, które w całości lub większych fragmentach związane są z Rzeszowszczyzną. Na całość składają się m. in. wykaz czasopiśm wykorzystanych w bibliografii, działy traktujące poszczególnie o literaturze powieści, opowiadania, eseje, felietony, pamiętniki i wspomnienia oraz reportaże.

Stanski

## Zdarzenia tygodnia

19 bm. w Teatrze im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie odbyła się premiera wystawianej już na terenie województwa pięcioaktowej komedii Mollera pt. „Don Juan”. Przeprowadzamy, że „Don Juana” wyreżyserowała Elwira Turska, opracowanie muzyczne Franciszka Barfussa, scenografia Jerzego Szymańskiego.

21 bm. w Markowej, pow. Łańcut (klub kawiarnia GS) otwarto wystawę malarstwa i rysunku Franciszka Frączka, artysty plastyka, mieszkającego w Krzemienicy w pow. łańcuckim.

W niedzielę o godz. 17.30 Biuro Wystaw Artystycznych urządza spotkanie z autorem wystawianych prac, na które zaprasza zainteresowanych.

W Zwierniku, pow. Dębica, czynna była wystawa malarstwa i grafiki rzeszowskiego Okręgu ZNP. 17 bm. na wystawie odbyła się dyskusja, na którą przybyli plastycy A. Jakubowicz, Fr. Frączek, C. Kołowicz oraz kierownik Wydz. Kultury Prez. PRN J. Matosz. Wykazała ona, że mieszkańcy wsi żywo interesują się sztuką. Podczas imprezy przebywający na Rzeszowszczyźnie filmowcy z Wytwórni Filmów Oświatowych z Łodzi nakreślili film o upowszechnianiu sztuki.

W niedzielę, 20 bm. w Domu Sztuki w Rzeszowie na wystawie grafiki Barbary Smoczyńskiej i rzeźby Józefa Zatheya odbył się zorganizowany przez BWA poranek muzyki polskiej. Program wypełniły utwory kameralne Jana Kleczyńskiego, Adama Jarzębskiego i Andrzeja Rohaczewskiego.

W poprzednim numerze „Widnokręgu” pominięto nazwisko autora recenzji („Próba liryczności”) tomiłku poezji Tadeusza Piekły. Jej autorem jest Jan Grygiel. Przepraszamy.



## Dwutygodnik poświęcony zwyczajom Sarmatów

### Postrzyżyny

CZYLI LIST OTWARTY

Szanowny Redaktorze „Cacy, cacy”!

Aby uniknąć nieporozumień zastrzegam się uroczystości; nie depczę starych ołtarzy, znam dzieje ojczyste, uwielbiam naszą bogatą tradycję i uroczę legendy. Redaktor na pewno pamięta historię z Ziemowitem. Postrzyżyny na pewno były bardzo miłym zwyczajem, uroczystości obchodzonym w Słowian. Trudno mi się jednak pogodzić, gdy 1000 lat później robi się ze mnie... żeby to Ziemowita. Rozumiem, rok jubileuszowy nawiązywanie do tradycji to objaw cenny, a nawet chwalebny. Mam jednak pewne wątpliwości.

W naszej szkole zaimprovizowano masowe postrzyżyny wszystkich słowiańskich głów. Tradycja! Śmiem oponować. Potraktowano nas bezceremonialnie, a więc o żadnej uroczystości jubileuszowej mowy być nie może. Lojalnie informuję, że unikałem tej bezceremonialności dzięki szybkiemu refleksowi i tudzież takim nogom.

Ostatnio jeden mój serdeczny przyjaciel przeczytał w gazecie, że w Jugosławii kilku poważnych mężczyzn, w biały dzień na ulicy zabawiało się kosztem przechodniów o bujnych fryzurach, których wprawdzie nie skalpowano, ale wycinano im kępy włosów. Jak wykazało śledztwo, nie była to niewinna zabawa chuliganów, a niezwykle godna uwagi, inicjatywa Spółdzielni Fryzjerów, która w ten sposób, chciała zmusić opornych do korzystania z uspołecznionej usługi.

Szacunek jakim darzę moją szkołę nie pozwala mi nawet pomyśleć, iż wspomniane postrzyżyny odbyły się na zlecenie Rzeszowskiej Spółdzielni Fryzjerów. Sądzę, że skorzystano raczej z doświadczeń rodzimego podwórka.

Redaktor dobrze wie, że w „okresie walki z

walką” w różnych ramach, waczyliśmy już z beretem — burżuazyjnym nakryciem głowy, potem z wąskim spodniem, z szerokim, z długą i krótką marynarką, później z brodą oraz łysiną — waczyliśmy i walczyliśmy bezskutecznie. Prawdopodobnie też w ramach tej walki kilka lat temu w Krakowie grupa młodzieży tak się ubojowała, że zabawiała się w domorosłych mistrzów od nożyczek. Zabawa skończyła się, gdy postrzyżono znanego i cenionego w tym mieście profesora wyższej uczelni. No cóż, zła to była zabawa.

Redaktor już na pewno się domyśla, że nie kruszę kopii o zasadę, ale o metodę.

Ostatnio w „Świecie” w rubryce kobieta światowa przeczytałem, że w Londynie modne są włosy krótkie (u kobiet). Krótsze od fryzur większości młodzieńców.

„Jeśli zaś o nich idzie — cytuję — to jak powiedział jeden mądry przyjaciel, niech sobie noszą włosy nawet do ramion byle były czyste”.

Stary przyjaciel to nie głupi facet — a więc biada mu — oto nauka, która wynika z dziejów narodu i jednostki. Dlatego na zakończenie swojego listu chciałbym zapytać Redaktora, czy to sprawiedliwe?

Dziewczęta włożyły na całego w spodeń i tną włosy na chłopaka, a nikt nie uszczęśliwia ich peruką. Proszę się też nie zdziwić, gdy podniesie się krzyk, iż w autobusie „Kolo” w Rzeszowie, jakiejś ofeminizowanej uczennicy nieznanego wyrostek obciął nogawkę.

— NAUKA NIE IDZIE W ŁAS. Z sarmackim pozdrowieniem ciao uczeń z Rzeszowa

P. S. Rodzice też wybrzydząją na moją słowiańską fryzurę. Kiedy ci dorośli zrozumieją, że wszystko mija?!